GŁOS WOLNY.

GŁOS WOLNY wychodzi trzy razy na miesiąc; 10go 20go i 30go każdego miesiąca. Cena prenumeraty trzymiesięcznéj wynosi szyl. 3 i d. 6, czyli fr. 4 cent. 50, czyli złp. 7. Cena pojedynczego numeru w biórze redakcyi d. 4.

N 159 i 160.

Dnia 10go Grudnia 1867.

Prenumerować można: w Redakcyi, u Ant. Żabickiego, 1, Sandwich Str Burton Crescent, W. C. London; u kasyera Komisyi Opiekuńczéj Winc. Grochowskiego, 46, rue Bénard, Batignolles, à Paris; i w księgarni K. Królikowskiego 20, rue de Seine. à Paris.

ZJEDNOCZENIE.

Wybory do Komitetu Zjednoczenia, poruszając kwestyą osób w emigracyi, odsłoniły kilka słabych stron naszych, które zanotować i rozważyć należy.

Ob. Józef Tokarzewicz, redaktor pisma, które w ośmiu wyszłych numerach określiło swoje komunistyczno-słowiańskie stanowisko, w odezwie, datowanéj z Poitiers dnia 10 listopada, podaje się na kandydata do Komitetu, utrzymując "iż urzędnicy powinni być wybierani z pomiędzy "tych tylko osób, które się na służbę ofiarują i do takowéj "odpowiednie przedstawiają kwalifikacye." Pomijamy, o ile ta nowość w życiu emigracyjném, naśladowana ze zwyczajów normalnego stanu parlamentarnego, może być skuteczną na wyrobienie poważnych kandydatów do Komitetu. Gdyby nie wzgląd z jednéj strony na drażliwość mówienia o sobie, która nie jednego "odpowiednie posiadającego kwalifikacye" obywatela wstrzymać może od wystąpienia publicznego z swoją kandydaturą, a z drugiéj gdyby nie obawa, że zwyczaj taki może tylko posłużyć ludziom zarozumiałym, z pretensyami nieusprawiedliwionemi, do bezużytecznego powiększania liczby kandydatów, nie mielibyśmy nawet żadnych słusznych powodów przeciwko stawianiu własnych kandydatur. Wystąpienie ob. Tokarzewicza ma w każdym razie tę ważną zasługę, że programat swój polityczny i socyalny stawia jasno. Przyjmuje manifest z 22 Stycznia 1863 jako "podstawę "do dalszéj krajowéj i emigracyjnéj propagandy w kwestyi "naprawy społecznéj, przez organizacyą nadanéj włościa-"nom własności i przez uposażenie licznéj u nas klassy pa-"robczanéj i polskiego proletaryatu w ogóle." Przyjmuje wyznanie wiary politycznéj Zjednoczenia w odezwie Komitetu z 29 listopada 1863 r. ogłoszone, urzeczywistnienie prawdy, iż Polska o własnych siłach odzyska niepodległość, "zależném czyniąc od sumiennego wykonania zasady: "" wszystko dla ludu przez lud."" Przyjmuje w zupełności myśl w ustawie Zjednoczenia zapisaną, iż obowiązkiem jest naszym starać się o przymierza wszystkich wolnych lub do wolności dążących narodów, i jako rozwinięcie téj myśli stawia "przymierze z ludami Słowiańskiemi i głównie "z ludem Rossyjskim, z którego wiernymi reprezentan-"tami i obrońcami możemy, a według testamentu Mo-"chnackich i Lelewelów, powinniśmy iść ręka w rękę "przeciw ciemiężącym nas rządom." Przyjmuje nakoniec i organizacyą Emigracyi Zjednoczonéj tak jak ją określa dzisiejsza ustawa, uważając obecne Zjednoczenie za piérwszy krok ku zjednoczeniu całego demokratycznego Wychodztwa Polskiego "przez takie rozszerzenie autonomii i attrybucyi "pojedynczych gmin, które nie nadweręża w ogóle jedności "celu, a daje zarazem swobodny i prawowity rozwój roz-"maitym politycznym przekonaniom indywiduów i partyj."

Otoż, jeżeli programat ob. Tokarzewicza jest jasny, to za to niektóre jego zastrzeżenia i warunki są tego rodzaju, iż zniweczyć mogą polityczną jedność, która jest najpiérwszym warunkiem Komitetu. Z temi zastrzeżeniami można zająć w Komitecie stanowisko ob. Świętorzeckiego i księdza Żulińskiego. Przymierze z ludem Rossyjskim, kiedy ten morduje Polskę, jest politycznym nonsensem; autonomia zaś gmin, uznanie politycznych partyj w Zjednoczeniu jest formalném zaprzeczeniem myśli, która wydała dzisiejszą ustawę, i prowadzi wprost do naiwnych marzeń gminy La Villette i księdza Żulińskiego. Gdyby więc ob. Tokarzewicz do swoich zastrzeżeń i warunków przywiązywał, jak zwykle bywa, charakter stanowczy i nieomylny, jego kandydatura byłaby niemożliwą a nawet szkodliwą, gdyżby wprowadziła do Komitetu nowy zaród rozdwojenia.

Ob. Świętorzecki innego rodzaju opłosił odezwę do "Towarzyszów Wychodztwa." Urzędowanie jego w Komitecie, kilkakrotne niefortunne wystąpienia, uczyniły jego kandydaturę niepodobną, jeżeli Emigracya Zjednoczona ma na seryo pomyślić o poważnéj naczelnéj instytucyi; wyrzeka się też karyery politycznéj, zostawiając "ten dział czyn-"ności starym weteranom narodowéj sprawy i ludziom "złamanym fizycznie." Sam zaś, "jako zdrów jeszcze "i silny, napawając się postaciami Zawiszów, Zamojskich, "Tęczyńsksch, Tarnowskich, Chodkiewiczów, Żołkiew-"skich, Ostrogskich, Czarnieckich i innych wielu," wszedł do szkoły wojskowéj w St. Cyr, ażeby orężem służyć Ojczyznie. Jakkolwiek całe to wystąpienie ob. Świętorzeckiego jest zbyt pretensyonalne a nawet i śmieszne, jednak pochwalamy bardzo postanowienie jego, jako dowodzące że ma pojęcie o jednéj przynajmniéj z najważniejszych potrzeb sprawy narodowéj. Będąc już w wieku, w którym ludzie oddawna pokończyli szkolne nauki (ma około 35 lat), potrzeba było niezwykłego hartu duszy polskiej, ażeby poddać się na dwa lata rygorowi wojskowemu, ażeby zasiąść na ławach szkolnych z młodzieżą nieliczącą zwyczajnie między kolegami starszych nad lat 20. Przykład dany przez ob. Świetorzeckiego, jeżeli tylko wytrwa w swojém postanowieniu, stać się może skutecznym bodźcem dla tych, co w gnuśności pędzą z dnia na dzień życie tułacze, nie wiedząc nawet, że najważniejszym obowiązkiem wygnańca polskiego jest wykształcić się na dobrego obywatela i żołnierza Polski. Sądzimy bowiem, że ob. Świętorzecki tak jak wszyscy, co się nauce wojskowéj oddają, tych dwóch charakterów nie rozłączają. Dopóki Polska w niewoli, dotąd każden Polak powinien być żołnierzem a każden żołnierz obywatelem wiedzącym co to jest walka z nieprzyjacielem, jakich warunków potrzeba ażeby powstanie stało się rzeczywistą rewolucyą, to jest wywrotem stanu niewoli a postawieniem stanu wyzwolenia i swobody. Gdyby młodzi bracia kształcący się dzisiaj w naukach wojskowych ograniczyli się tylko do zawodu żołnierskiego, gdyby marzyli

o służbie wojskowéj w szeregach, które nie tylko nic wspólnego nie mają z powołaniem żołnierza-obywatela Polskiego, ale są szkołą wyrabiającą najsilniejsze podpory despotyzmu, to może by im się udało zrobić karyerę, ale pewno Polsce nie wiele by użytku przynieśli. W czasie ostatniego powstania mieliśmy niemałą liczbę Polaków w wojskach obcych, mieliśmy nawet kozaków Sułtańskich, którzy na to byli utworzeni, ażeby stanowić siłę gotową na potrzeby powstania narodowego; a wieluż z nich stanęło w szeregach Polskich? Z kozaków Sułtańskich ani jeden; z wojska Włoskiego jeden; z wojska Francuzkiego jeden. A dla czego? Bo byli to żołnierze tylko, bo nie chcieli poświęcić karyery dla obowiązku Polskiego, o którym już pojęcia nie mieli. Zwracamy na to uwagę młodzieży kształcącéj się w naukach wojskowych.

Ale najważniejsze wystąpienie, wywołane wyborami do Komitetu, jest ob. J. Dąbrowskiego, który odpowiadając na list ob. Bednarczyka i jego politycznych przyjaciół, wywiesza po piérwszy raz w Emigracyi Polskiéj chorągiew odrębności Rusińskiéj. Przed dwoma laty krążyły już wprawdzie pogłoski o zamiarze wystąpienia ob. Dąbrowskiego z protestacyą przeciwko głosowi Leszka Borkowskiego w sejmie Galicyjskim, który wychodząc ze stanowiska historycznego, narodowego, jako poseł z ziemi Ruskiéj wykazał wszystkie błędy i niebezpieczeństwa tych co między bracią ruską a lechicką sieją niezgody i rozdwojenia. Ale zamiar ten zaniechany został. Zdawało się, iż rozsądek doradził, ażeby w Emigracyi przynajmniéj, która reprezentuje jednolitość narodową Polską, która jest znaną światu jedynie z charakteru czysto Polskiego, która walczyła tylko za Polskę, jaką dziesięcio-wiekowe dzieje wspólne wszystkim składowym jéj warstwom wyrobiły, że w Emigracyi Polskiéj, która dwa wielkie znaki narodowéj przyszłości uniosła z ziemi ojczystéj: jeden z 1831 r. "za naszą i waszą wolność," a drugi z 1863 r. "za wolność, równość i braterstwo," że w Emigracyi takiéj nie znajdzie się Polak, któryby powiedział: Ruś nie wasza; ona albo moskiewska, albo oddzielny naród, albo wasz hardy sojusznik tylko. Przed dwoma laty rozsądek przemógł, protestacya umilkła. Ob. Dąbrowski wszedł do Komitetu bez żadnych zastrzeżeń i warunków i zajął miejsce w większości rozumiejącéj właściwie myśl Zjednoczenia Emigracyi Polskiéj, a nadto podpisał sprawozdanie z uwag nad projektami organizacyi Wychodztwa Polskiego, które na str. 51 zamieszcza następujące myśli Komitetu z powodu wniosku, ażeby w ustawie Zjednoczenia opuszczoném zostało wyrażenie "równouprawnienie narodowości": "Pojmujemy w zupełności myśl, która spowodowała żądanie wnioskodawców, aby wyrażenie to było opuszczoném. Wierzymy w Polskę jednę i nierozdzielną, w Polskę, która tysiąc lat istnienia i wolna wola w skład jéj wchodzących ludów wytworzyły, w Polskę, która po odzyskaniu utraconéj niepodległości urządzić się musi na zasadach wolności i sprawiedliwości, w któréj nie tylko każda część narodu lecz i każdy pojedynczy obywatel znajdzie najobszerniejsze praw swych zabezpieczenie. Zbyteczném więc jest wyrażenie zastrzegające prawa, które z samego istnienia wolnéj Polski dla każdego jéj obywatela wypływają. Są jednak ludzie, co w myśl i z poduszczenia wrogów naszych działając, starają się przedstawić Polskę jako nieprzyjaciółkę i prześladowcę Rusi, któréj wolność i niepodległość niewolą i zależnością Rusi ma być opłacona. Zarzut tego rodzaju jedynie przez nieprzyjaciół Polski i w złéj wierze może być podnoszony; chcąc jednak uniknąć pozoru nawet, z którego skorzystaćby "nie zaniedbano, proponujemy wam, Obywatele, utrzymanie piérwiastkowego wyrażenia." Dziś ob. Dąbrowski z powodu interpellacyi ob. Bednarczyka protestuje przeciwko podpisowi swemu i opuszcza Komitet. Jakaż może być tego przyczyna? Czy nastąpiły jakie fakta nowe, które zmusiły ob. Dąbrowskiego do podniesienia tego co przed dwoma laty zaniechał? Czyż nie dosyć słabi jesteśmy, ażeby nowe, boleśniejsze może niż wszystkie inne wszczynać między nami spory? Nie wchodzimy w to wszystko, bo nie z osobą, ale z myślą wypowiedzianą rozprawić się zmuszeni jesteśmy, ustępując w następnym numerze głosu Rusinowi, naszemu współpracownikowi, który przynajmniéj tyle co ob. Dąbrowski ma powagi mówić o Rusinach.

PRZEŚLADOWANIE UNIATÓW.

Dawniejszy opis wszystkich zajść w gubernii Siedleckiéj nie tylko nie był przesadzonym, ale okazuje się słabém odbiciem tego co w rzeczywistości miało miejsce. W *Sowremiennoj Letopisi* znajdujemy artykuł "o wyzwoleniu uniatów od polonizacyi przemocą." Z pod pokrywki moskiewskiego patryotyzmu usprawiedliwiającego wszelki gwałt dopełniany na polskiéj narodowości wygląda cała potworność zbydlęcenia władz i dowolności rządu. Fakta tam zacytowane, jakby na usprawiedliwienie rządowych czynności, dają nam podstawę do potępienia ich. Ażeby uniaci byli przemocą polszczeni w ostatnim wieku, tego ani historya ani pamięć ludzka nie podaje. Historya także nie opisuje, ażeby Rusini byli kiedykolwiek Moskalami. I chociaż ob. J. Dąbrowski rzekł, że Rusini są bardziéj zbliżeni do Moskali niż do nas, korespondent *Sowremiennoj Letopisi* widać nie wiedząc o tém mówi: "że do dziś dnia ludność Siedleckiéj gubernii boi się imienia moskala (russkawo); i na przekór twierdzeniu, jakoby Rusinom nienawistne było wszystko polskie, on także zapewnia: "narodowe ich uczucia szczególniéj w miasteczkach zdławione są do tego stopnia, że liczą swój rodowity, "chłopski" język mniéj miłym Bogu niż język "pański," polski. Moskiewski publicysta uważa, "że takie poglądy nie mogłyby się wkorzenić w ludzie, gdyby do tego nie przyczyniało się duchowieństwo." Cała więc wina, że Rusini poczuwają się cząstką narodu Polskiego, leży w duchowieństwie, i słowa Katkowa: "w ziemiach należących niegdyś do Polski katolicyzm otrzymał charakter polityczny," rozciągają się dziś i do unii. Postanowiono unitów pozbawić charakteru politycznego: poczęto prześladować księży, więzić lub wywozić ich do Rossyi, a na ich posady sprowadzać najzupełniejszych swoich popleczników z Galicyi lub pozostawiać parafie wakujące. W skutek tego unickie duchowieństwo stanęło w jawnéj opozycyi z działaniami Moskwy. Rząd zamierzył unią zmienić na prawosławie i w tych krokach potrącił o sumienie i religijność naszego ludu, które nikomu nie wolno bezkarnie obrażać. Powstało bardzo rozległe zaburzenie ludu. Rząd prześladować począł księży okładając ich sztrafami; według *Sowremiennoj Letopisi*, "i odwołali się do ludu i parafianie chętnie składali sztrafy wyznaczone na ich pasterzy, Namiestnictwo kazało ulubionych księży więzić, lecz krok ten chybił wyrachowania; rodziny uwięzionych agitowały w pośród chłopów i wzniecały większe zamieszki."

Wówczas się rząd przekonał, że aby znieść unią, musi wpiérw zniszczyć to wszystko co pozornie nawet odróżniało unitów od prawosławnych. Dla nadania pozorów rozporządzeń władzy duchownéj wszelkim pomysłom policyjnym, wywieziono Kalińskiego biskupa i zamianowano konsystorz, którego prezesem zrobiono dziekana Wojcickiego, zaprzedanego duszą i ciałem najazdowi. Z jego to natchnienia wydano rozkazy mówienia kazań po moskiewsku w cerkwiach unickich, wzbroniono unitom odprawiać mszą po kościołach katolickich, kazano wynieść organy i pokasować pieśni nabożne śpiewane po polsku w czasie nabożeństwa; nie darowano ławkom kościelnym, które kazano wyrzucić; zabroniono stanowić bractwa różańcowe, nosić szkaplerze, odmawiać koronki i t. d. Lud tego zupełnie nie przyjął i nie dopuścił wprowadzić w wykonanie choćby jednego rozporządzenia. Widząc powszechne oburzenie, wszyscy księża uniccy dyecezyi Chełmskiéj (którą teraz kazano nazywać

(hełmską) w lutym bieżącego roku w jednym i tymże samym dniu podali prośbę do rządu o wydalenie z konsystorza Wojcickiego, o konieczności wyboru nowego nominata na biskupa. Rząd odpowiedział na to uwięzieniem 14 księży. Poruszenia ludu stały się groźniejsze i musiano używać siły zbrojnéj. A ponieważ u Moskali żadnéj sprawy nie ma bez "zaczynszczyków" i zawsze ich szukają policyanci, a nie znajdując winnych, piérwszego lepszego za zaczynszczyka lub konowoda zaliczają, więc i teraz Bednarski i Brudkowski w Bialskim powiecie, a Kriwczukowa we Włodawie wzięci na męki jako podżegacze ludowych nieporządków. Lecz trzeba było złość wywrzeć na jakiéjś grubszéj i wybitniejszéj sztuce, więc powiedziano, że biskup katolicki dyecezyi Janowskiéj ma wpływ niezmierny na duchowieństwo unickie, i ojca Benjamina Szymanowskiego uwięzili a dyecezyą jego znieśli. Jednak i to nie pomogło wcale. Upor duchowieństwa nie został przełamany i kazać po moskiewsku nikt nie chciał.

Ludność nawrócona na prawosławie na Litwie w Charsach zawiadomiła wieśniaków z Długobrodów i Słowatycz, że ich pop stara się o zajęcie ich parafii, która zapewne ma być przerobioną na prawosławną. Długobrody i Słowatycze się wzburzyły, a Moskale jako podżegacza uwięzili Kalinowskiego, nadzorcę straży granicznéj, chociaż nie on tę wieść rozszerzył.

Widząc opór ludu i jego zociętość w swéj wierze, rząd zmienił taktykę, puste probostwa obsadził Święto-Jurcami, przez *Dziennik Warszawski* i inne swe organa zaczął szerzyć wieści, że on nigdy nie będzie nawracał unitów na prawosławie, ale że organy to Lacki wymysł, bo w Galicyi w żadnéj unickiéj cerkwi organów nie ma i godzinek nie śpiewają; a przytém ajenci policyjni poczęli kraść instrumenta muzyczne z kościołów!

Jednakże niektórzy księża z prawdziwie kapłańską godnością postępowali. *Sowremiennoj Letopis* wymienia, iż ks. Terlikiewicz, "przy naczelniku powiatu, wobec członka konsystorza Popiela objawił, że on Polak i po moskiewsku kazań miewać nie będzie." Ks. Zatkalin w Sokołowie "mówił podżegającą mowę wobec ludu po polsku ; objawił że nie uznaje i nie chce słuchać konsystorzów, dopokąd papież nie naznaczy biskupa." W Hannie ks. Górski a we Włodawie ks. Lewicki jakoby "sprzeciwiali się wyniesieniu organów." I t. p. Jeżeli to prawda, wtedy trudno się wstrzymać od pochwały tych pasterzy, którzy widząc niechybne prześladowanie, wolą się na nie narazić niż zdradzić swe sumienie i tych których religijności uczyć byli powinni.

Moskalom jednak do téj sprawy trzeba było zamieszać i właścicieli ziemskich. Owoż rozruchy te przypisują silnym wpływom hrabin: Potockiéj, Łubieńskiéj, Kuczbej. Tenże korespondent wymienia, że w Kurzankach rodzina hr. Zamojskiego podtrzymywała opór proboszcza, swemi gorącemi modłami zagrzewała lud wiejski, a gdy wyprosili organy płaczem i jękami swemi dawała otuchę ludowi do sprzeciwiania się; nadto, jakoby panna Zamojska strażnika po wywiezieniu organów nazwała "psia krew."

Ażeby nasza arystokracya, choćby dewotek, miała się bardzo hazardować i narażać na prześladowania rządowe z powodu religijnych przekonań, nie wierzymy i dla tego téj wieści zupełnéj nie dajemy ufności, chociaż uznajemy, że w chwili prześladowania ludu, każdy prawy człowiek powinien brać stronę uciśnionego, i chociażbyśmy nawet hrabiom naszym szczerze przyklasnęli, widząc ich zwrót na ojczyste niwy choć raz bez obłudy.

Dla ułagodzenia wzburzonych umysłów szerzą wszędzie książki wydane za moskiewskie ruble we Lwowie przez usłużnych wrogom naszym Święto-Jurców, co zaparli się braci swéj dla marnego zysku doczesnego. Te druki kirylicą lub hraždanką narzucają każdemu, odbierają książki polskie, rwą szkaplerze, ale za to na ustach noszą wyrazy wilczéj łagodności i judaszowego uśmiechu. Lud ściąga z kazalnicy przeniewierców swéj wiary. Kościoły do czasu zapieczętowują, a miłościwy rząd otwiera gimnazya moskiewskie dla Rusinów mających się kształcić na Moskali: w Chełmie, Hrubieszowie, Białéj. Siedlcach, chociaż liczba słuchaczów bardzo tam ograniczona. Wyklęty przez papieża Wojcicki biskupuje z woli najłaskawszego rządu. A prowosławni wzdychają do zniesienia tych resztek uniackiego kościoła.

I to wszystko ma być polszczenie przemocą ludu rossyjskiego?

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA EUSTACHEGO PETYONA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Nakoniec nadszedł 19 Luty! Dzień śmierci dla tylu bohatyrów, dzień żałoby dla tylu matek a zarazem i dzień chwały dla Polski!

Przed ósmą z rana 13 czy 14 koni przybywa z porucznikiem z wojska rossyjskiego, którego nazwiska nie pamiętam; pomnę tylko, że wachmistrzem przy nim był bardzo gorliwy i przytomny Wodzyński. Była to tak zwana awangarda Mielęckiego. Na widok ich powstaje okrzyk radości w obozie. Zewsząd wiara sypie się by oglądać i uściskać rodaków ułanów. Lecz zapał nasz nie trwał długo. Co to za kawalerya bez lanc a z dubeltówkami?

Jeżeli Komitet Centralny z zagranicy nie sprowadził karabinów i pałaszy na zamierzone powstanie, to się jeszcze tłumaczy poruczeniem tego zaopatrzenia reakcyjnemu Komitetowi Paryzkiemu i niedołęztwu jenerała Wysockiego; ale nic go nie wytłómaczy z nieprzysposobienia lanc, kos, siodeł i tornistrów i wszystkiego zgoła czego sam kraj mogł dostarczyć. Tu trzeba było tylko chcieć, aby z *Instrukcyą Powstańczą* pod oczyma przysposobić uzbrojenie dla pół miliona kosynierów i dla statysięcy ułanów. To najwymowniéj świadczy o nieuczciwości i kontrarewolucyjnych zamiarach byłéj junty Warszawskiéj, która deklamując ciągle o powstaniu, powstanie z góry rozbroiła i uniemożliwiła.

Porucznik téj szpicy kawaleryi zameldował, że korpus nocował pod Płowcami i że miał wymaszerować do Krzywosądza w pół godziny za swą awangardą. A ponieważ ta wyszedłszy przed świtem, tylko z powodu mglistego poranku zabłądziła i spóźniła się o jakie półtory godziny, pojąć nie mogła jak już przy nas Mielęckiego z całą jego siłą nie zastała? Z 15 czy z 20 koni kompletujących tę awangardę przybyło w godzinę późniéj pod komendą niejakiego Topora. Cały ten pluton opatrzony został w lance przez nas w nocy ukute i osadzone.

Po godzinie oczekiwania, jenerał nie dostrzegając nic na równinie w téj stronie, bierze ze sobą kapitana Buskiego, dwóch konnych i sam jedzie na spotkanie Mielęckiego. Na pół drogi, w Byczynie, spotykają chłopa idącego z Płowiec, któren zarecza, że kolumna Mielęckiego wieś opuściła, ale w którą stronę poszła, nie umiał opowiedzieć.

Pewien że chyba do Ujmowa, nad bagno Bachorzy, ażeby nas zasłonić od Moskali idących z Konecka, jenerał zawraca w tę stronę, Celińskiemu rozkazawszy obsadzić strzelcami Bodzanowo, na wschodnim wylocie lasu do Ujmowa.

Była godzina może 11[ta], kiedy jenerał wrócił spiesznie z Buskim do Bodzanowa donosząc nam, że zamiast Mielęckiego dostrzegł Moskali ciągnących na podwodach przez groblę Ujmowa. Celińskiego odprawił do kosynierów w lesie, a kapitanowi Buskiemu kazał nas powoli wycofać z Bodzanowa na krawędź lasu. Na dwa strzały do Bodzanowa Moskale zesiedli z fur i długo się formowali do attaku.

IX.

Powiedzieliśmy wyżéj, że przybycie jenerała Mierosławskiego nabawiło Moskali niemałego kłopotu. Korpuśny jenerał raczył sam zjechać nad granicę, przez trzy dni objeżdżał garnizony, studyował topografią, robił przegląd carskich szyków i wzywał na gwałt o posiłki, które mu rzeczywiście w ilości 2 do 3000 i dział kilkunastu przysłano z Warszawy. Wszystkie załogi z tego wycinka Moskale ściągnęli do dwóch punktów, Konina i Włocławka.

Czémże to się działo, że Moskale będąc tak wystraszeni z początku, to jest w dniach 15, 16 i 17 Lutego, nagle odzyskali odwagę 18 t. m. aż do attakowania nas?

Raport pułkownika Szyldner-Szulder objaśnia nam tę moskiewską metamorfozę. Raport ten brzmi jak następuje.

"Dowiedziawszy się z raportu *wójta gminy* Krzywosądz, że "znany wychodzca polityczny Mierosławski biwakuje w lesie Krzy-"wosądzkim z 200 ludźmi, postanowiłem natychmiast uderzyć na "niego. W tym celu dnia 18 lutego wymaszerowałem z Włocławka "na czele 7 rot piechoty, 300 objeszczyków i półtory sotni "kozaków itd. itd."*

* Nie rozumiem dla czego powszechnie utrzymują, że 3 tylko roty miało zaszczyt walczyć z nami pod Krzywosądzem, kiedy urzędowy raport wyznaje, że było ich siedem.

Ten raport mówi wiele: widzimy najprzód, że byliśmy zadenuncyowani, ale to nie dosyć. Żaden burmistrz ani wójt gminy, podczas całego powstania, nie śmiał denuncyować, choćby tylko z bojaźni stryczka, i rzeczywiście denuncyacya była nie znaną w tych sferach. Jeżeli wójt nas zadenuncyował, to oznacza, że był do tego *zmuszony* przez tych, od których on zależał. Dodać tu jeszcze winniśmy, że ów wójt był zarazem jakimsić urzędnikiem narodowym. Wójt zatém wykonał rozkaz, tak zwany *narodowy!* Zresztą, niepociąganie go później do żadnéj odpowiedzialności przez *władze właściwe* utwierdza nas w naszém przypuszczeniu.

Byliśmy zdradzeni urzędownie, albo raczéj skazani na śmierć; przez własnych naszych rodaków!

X.

Z takiemi to siłami wynoszącemi około 2000 głów, pułkownik moskiewski podszedł pod Bodzanowo;* ale już tutaj zaczął sobie niedowierzać. Kto mu ręczył, że od odebrania raportu wójta Krzywosądzkiego Poznańskie nie nasłało nam 3, 4, 5 tysięcy posiłku? Oprócz tego bał się oczywiście uderzać na nas, mając w Płowcach, to jest na swojém lewém, wiszące inne powstanie. Patrzyliśmy jak wysyłał patrole w tę stronę i zapewne, kiedy mu doniesiono, że w Płowcach już nie ma powstsńców, zdecydował się zająć Bodzanowo. Ale tu znowu się zatrzymał, myśląc zapewne, że opuszczając Płowce, powstańcy o tyle wzmogli nasz oddział w lesie Krzywosądzkim. Jenerał dobrą brał otuchę z tak widocznéj hezytacyi nieprzyjaciela.

Zciągnąwszy strzelców bez wystrzału na krawędź lasu, jenerał przemówił w te słowa: "Dzieci! kto wyjdzie z lasku na pole "przepadł; tu musimy się bić do upadłego, ażeby, jeżeli naszéj "pukaniny nie dosłyszy, Mielęcki, na dziesięćkroć głośniejszą "strzelaninę Moskali, mógł się kierować; ale lada moment nadejść "musi nam w pomoc, chyba byłby ostatnim zdrajcą, o co go nie "podejrzywam." Zostawując przy Buskim swego adjutanta Zejfryda, sam jenerał pobiegł do kosynierów pod figurą, o parę set kroków za linią strzelców, i po kilka razy zakomenderował swój tryb kładzenia się i zrywania do biegu, z przenikliwym wrzaskiem, który się rozlegał po lesie, jakby nas było kilka tysięcy.

Przekonani, że opóźnianie się Mielęckiego wchodziło w rachunek jenerała, po raz drugi przysięgliśmy po rycersku zginąć do nogi, jeżeli potrzeba, byle zyskać czas jenerałowi i Mielęckiemu do skombinowania swojego ruchu na bok czy tył zapuszczających się w las Moskali. Celiński przybył na linią strzelców. Jenerał stał przy kosynierach.

XI.

Nareszcie po godzinie piérwszéj z południa, gęsty łańcuch tyralierów moskiewskich wysypał się ku nam z Bodzanowa, a kozactwo poszło powoli okolać laski od naszego prawego. Wszczął się żywy ogień a dalekonośny, na któren wiara nasza odpowiadać nie mogła; zresztą Celiński i Buski zakazali jak najsurowiéj *psuć ładunki.* jak się wyrażali, dając daléj ognia jak na 50 kroków. Na sto kroków, pomimo łajania Celińskiego, wiara zaczęła strzelać, i choć tylko połowa flint naszych dała ognia, Moskwa się zatrzymała.

Jedyny plutonik rezerwowy z 12 strzelców, pod dowództwem podoficera Krzemieńskiego ze szkoły Genueńskiéj,† wysłany został wówczas na nasze lewe, które Moskale zaczęli oskrzydlać. Ukazanie się tego plutoniku na flance Moskwy sprawiło swój skutek: dwanaście celnych strzelców tak ją przeraziło, że całe to jéj skrzydło gwałtownie się cofnęło, odstrzeliwając się na oślep. W téj to właśnie chwili kapitan Buski padł ugodzony kulą w samo serce. Zejfryd, któren, pomimo że odbywał trzecią już kampanią w swém życiu, zawsze był młodym żołnierzem, upojony widokiem cofającéj się Moskwy wołał: "na bagnety!" zapominając że ani jednego bagneta w całym obozie naszym nie było.

Po krótkiéj pauzie, wszczął się powtórny attak. Ogień moskiewski był tą razą przerażający. Moskiewscy tyraliery tak gęsto szli jeden obok drugiego, że wydawali nam się rozwiniętą linią bojową; mimo odstrzeliwania się naszego, oskrzydlili nas od prawego. Wówczas Celiński musiał nas cofnąć na wysokość tyralierów.

Chmara tyralierów moskiewskich już dochodziła do środka lasu o kilkadziesiąt kroków od figury, kiedy na znak jenerała, Krosnowski jakby z pod ziemi zerwał kosynierów jednym szeregiem z raptownym okrzykiem: hurra! Tak zręcznie położył ich był w krzakach, że nie tylko Moskwa ale i my sami dostrzedz ich nie mogliśmy, aż ta brzęcząca sztacheta nie błysnęła po nad drzewkami.

Zjawisko to niespodziane tak przeraziło Moskali, że od razu ogień ich ustał na całéj linii a w kilku minutach nieprzyjaciel wypróżnił zajętą część lasu, uciekając tłumnie na pola Bodzanowa.

Chwila była uroczysta! Ani wątpić, że gdyby przynajmniéj w téj chwili Mielęcki znalazł się pod ręką jenerała ze swoimi 500 ludźmi, zwłaszcza z kawalerya, jak bądź uzbrojoną, bylibyśmy wszystko jednym zapędem wywrócili na bagna Bachorzy i tam całą kolumnę moskiewską zatopili, bo uciekający nie widzi czy goniący dobrze lub źle uzbrojony. Popłoch paniczny któren ogarnął Moskali w lesie zakomunikował się i kozakom, którzy nie czekając uciekli aż na przeprawę Ujmowa. Zejfryd konno, Celiński pieszo, biegli naprzód prowadząc naszych za sobą. Ale naszym zabrakło tchu goniąc; Moskwa uciekając raziła naszych i przerzedzała szeregi. Wówczas jenerał dla zyskania na czasie podskoczył do owych 30 czy 40 koni Topora stojących w rezerwie, z drugiéj strony figury, i pchnął ich naprzód. Z razu ta kawalerya rzuciła się kłusem na Moskwę, ale zaledwie czołem wychyliła się z lasu, gdy nagle dowódzca jéj Topor* piérwszy nawrócił konia i pędem począł uciekać porywając resztę w swe ślady. Raczkowski oburzony tą nikczemnością dopędził go i chciał zamordować; ale tchórz ten skrywsay się za drzewo i pokornie złożywszy ręce, wybłagał przebaczenie. Tymczasem jego towarzysze przegalopowawszy tuż obok jenerała i rzucając lance jako *niepraktyczne* znikli w oddali. Tylko 10 czy 12 wachmistrz Wodzyński potrafił zawrócić do eskorty taboru.

Nasi cofnęli się na dawne stanowiska i na tém kończy się druga faza bitwy Krzywosądzkiéj.

Tu się sprawdziło co jenerał zwykł nam był wiecznie powtarzać: że w pozycyi zakrytéj dla attakujgcego, sto ludzi, zuchwale dotrzymujących boju, wyrównywają kilku tysiącom, byle im nadeszła pomoc zaczém się attakujący rozpozna i ośmieli. Tutaj dopiéro przekonaliśmy się o niesłychanym efekcie szarży kosynierskiéj na regularne wojsko, co miało miejsce szczególniéj w rozprawie pod Wrześnią, o któréj jenerał rad zawsze swoim uczniom wspominać.

Z owego piérwszego zwrotu zaczepnego zyskaliśmy dobre trzy kwadranse zupełnego zawieszenia boju. Jenerał ciągle wybiegał na prawo, dopytywać się nadejścia Mielęckiego, ale po rozległéj równinie nic się nie ruszało.

Przed godziną trzecią rozpoczął się nowy attak moskiewski, ale tą razą wszczęły się narzekania na jenerała, że siły Mielęckiego nie rusza, a samą swoją eskortą chce bitwę wygrać; bo żaden z nas nie mógł zrozumieć oddalenia tego odwodu od trzech dni ciągle nam zapowiadanego, a którego szpica od godzin 7 połączyła się z nami. Jenerał przebiegając linią dodawał ducha, rzucając na prawo i lewo kilka słów, a do kupki cofniętéj już pod figurę rzekł: "nie cofać się za figurę dzieci, bo Mielęcki na naszém prawém skrzydle byłby odcięty."

Tą razą linia tyralierów moskiewskich stanowiła formalną ścianę. Rota jedna rzucona na nasze prawe oskrzydliła nas zupełnie i wzięła w straszny dośrodkowy ogień. W téj części las był młodziutki; był to raczéj zrąb niż las rzeczywisty, nie dający żadnego prawie zakrycia. Ogień był tak silny, że komendy niczyjéj dosłyszeć nie można było; każden walczył jak mógł na swoją rękę. Celiński już wówczas lekko ranny, coś wołał, łajał i cofał się krok za krokiem. Nasi znaleźli się nagle pod figurą otoczeni prawie do szczętu. Feldfebel Plewiński zaplątany w szyk moskiewski, wybija sobie rum karabinem wyrwanym rannemu katowi. Zabitych czy rannych Moskali leżało ze siedmiu w koło niego, kiedy koledzy przybiegli wyrwać zakrwawionego z téj obławy.

* Carowa przysłała żonie pułkownika klejnotów za 10000 rubli, a car dał chrest i wkrótce szlify jenerała. Petersburg lepiéj umiał ocenić jenerała Mierosławskiego i 100 mierosławczyków, aniżeli własni nasi rodacy.

† Pluton ten podczas bitwy już powrócił z wyprawy na jakiś magazyn moskiewski. Przywiózł on z sobą dwa wozy mundurów, parę siodeł, jednego konia z kibitką i kilka tysięcy ładunków.

* Nie trzeba brać tego Topora, przybocznika Mielęckiego, za tegoż oficera służącego pod Wagnerem, jak również trzeba go odróżnić od kapitana Zwierzdowskiego, któren pod tym samym pseudonimem dowodził pod Opatowem.

Zdawało się że ostatnia godzina wybiła dla przetrzebionéj garstki strzelców naszych, gdy w tém, nagle z tyłu, nowe hurra, ale hurra polskie, i równocześnie dźwięk kos dały się słyszeć. Była to powtórna szarża kosynierów prowadzona przez jenerała. Zaledwie brzękły kosy z daleka wśród regulaminowego wrzasku, a wnet żelazny pierścień, w któren nas Moskale ujęli prysnął i w koło nas znowu się rozwidniło. Nieprzyjaciel nie mógł się żadną miarą oswoić z tą dziką bronią naszą i nigdy na jéj dostęp nie czekając, tłumnie o 200, a najdaléj o 150 kroków przed nią uciekał, byle mu jakie krzaki zaćmiły w oczach liczbę i szyk naszych kosynierów.

Tą razą nie cofnął się jednak do Bodzanowa i w krańcowych krzakach sformował się do stanowczéj napaści. Nasi nie mogli go gonić; resztki sił naszych wyczerpnęły się fizycznie i moralnie. Siedmiu zabitych, dwa razy tyle rannych, a z oficerów jeden tylko Celiński, choć cały już poraniony, został na nogach. Krosnowski poległ śmiercią walecznych. Zejfryd i Białobrzeski ranni. Lecz największa strata nasza była we Władysławie Janowskim. Ten, pomimo nalegań i gniewu jenerała, zsiadł z konia, porwał za kosę po poległym i stanąwszy w szeregu kosynierów z nimi szarżował. W cofaniu się ranny, był przedmiotem troskliwości nadzwyczajnéj ze strony wszystkich, i ta to podobno troskliwość była przyczyną jego śmierci. Odprowadzony na furgon przez kapitana Raczkowskiego i przez niego wyexpedyowany pod eskortą pana Henryka S., znanego już nam młodego szlachcica z okolic, któren sam prosił o ten zaszczyt, nazajutrz, w drodze, nad granicą Prusską, napadnięty i rozsiekany został przez objeszczyków. Tak zginął, jak był poprzysiągł, przy boku *niedoszłego* dyktatora, prawdziwy autor *niedoszłéj* rewolucyi. Ale przynajmniéj zginął na samym progu bezpłodnych rzezi i klęsk, których haniebnego końca lepiéj że nie dożył; bo swawola i zawiść naszych wrogów domowych tak już daleko zaszły, że im nie byłby pewnie lepiéj zaradził ten młody bohatyr, jak sędziwy przedmiot jego dozgonnéj czci i uwielbienia, jenerał Mierosławski!*

Nakoniec jenerał zdecydował się zrejterować, ale tylko na inną pozycyą. "Kapitanie—odezwał się do Raczkowskiego—cofamy się "do zabudowań Krzywosądzkich; wyprawże natychmiast furgony "z rannymi, amunicyą i żywnością, a ja poprowadzę piechotę." Wysłał sześciu na lewo z rozkazem żwawego pukania w pochodzie, dla pociągnienia Moskwy za sobą. kupie zaś naszéj kazał spiesznym krokiem przelecić do Krzywosądza. Ale w téj chwili byliśmy już w prawdziwéj obławie, z któréj chyba zjawienie się Mielęckiego mogłoby nas było wybawić. Ćma kozaków i objeszczyków zabiegła drogę południową do Płowiec i co chwila groziła zająć drogę jedyną, jaka nam pozostała do rejterady, przez Dobre.

Jenerał sam ustawił garstkę niedobitków około 20 strzelców na wylocie lasu, zaś bezbronnych odesłał naprzód, polecając Celinskiemu cofać się do karczmy murowanéj. Nasi zaczęli wołać na jenerała, ażeby z kilkoma konnymi umykał przez Krzywosądz za granicę. Celiński z zakrwawioną maczugą w ręku, bo jego pałasina dawno się złamała, przyskoczył z twarzą rozpłomienioną wołając: "Ty, jenerale Ludwiku, ratuj swoją osobę, ale pamiętaj, żeśmy "sobie przysięgli w Paryżu wzajemnie nie zaprowadzić ani jednego "żołnierza zbrojnego za granicę."

Jenerał w towarzystwie kilku konnych ruszył stępo do owéj karczmy, która miała być ostatnią naszą obroną. Miała tylko być, powtarzam, gdyż następujące zdarzenie popsuło plan jenerała. Po odebraniu rozkazu cofania się, kapitan Raczkowski, znając ważność swojego depozytu, sam osobiście eskortował wozy. Już dochodził do karczmy, gdy ukazanie się od południa kozaków o jakie 150 kroków i ich salwa z janczarek tak przestraszyły biédnych chłopków naszych, że ci, zaciąwszy batem wylęknione szkapy, pędem puścili się przez pola do Dobrego. Na próżno Raczkowski gonił, strzelał do nich nawet; argumenta jego rewolweru widać były za słabe, wobec kozackich pukawek.

Wedle mnie, zdarzenie to niespodziane było łaską opatrzności. Zamknięcie się w zabudowaniach Krzywosądza było wybornym wymysłem, ale z warunkiem że p. Mielęcki przyjdzie nas wyrwać z tego więzienia. Przy zawodzie nieubłaganym, jakiego musieliśmy doznać od tego przeniewiercy, lepiéj żeśmy się tutaj nie zatrzymali. Aryergarda nasza nad rowkiem sformowana liczyła zaledwie 10 do 12 strzelb strzelających. Ze dwudziestu pozostałych kosynierów zaledwie połowa miała kosy, reszta nosiła tylko drzewca lub pałki, gdyż kosy kute połamały się, a stare powyginały. Było nadto 4 czy 5 rewolwerów tylko przy sztabie.* Niech mi wolno będzie zanotować jeden czyn mego znanego kolegi Teodora W. Gdy jenerał formował aryergardę nad rowem, spostrzegł Teodora skrwawionego i nabijającego dubeltówkę. "Tyś ranny, mój Teodorze? idźże mi zaraz na furgony." "Jenerale! odrzekł, mam jeszcze 4 ładunki!"

Chwila była okropna! Znajdowaliśmy się w matni, z któréj wyjść nie było można chyba zdając się na łaskę Prussaków, a tośmy uważali za koniec najpodlejszy. Od karczmy, jenerał posłał Kurzynę z poleceniem zakomunikowania Celińskiemu niepodobieństwa bronienia się w Krzywosądzu, a z rozkazem cofania się przez nagie pola do Dobrego lub rozpuszczenia nas przez zarośla ku granicy. Jenerał zarazem mianował Plewińskiego porucznikiem i pomocnikiem Celińskiego. Był to ostatni adjutant, jaki dotarł do Celińskiego. "Mam ziemię pod sobą, nad sobą niebo, a żelazo w ręku, odparł "Celiński. Nie po to tu przyszedłem, abym uciekał za granicę. "Niech się jenerał Ludwik o mnie nie troszczy, ale niech leci "i przysyle nam Mielęckiego z odsieczą."

Słońce skłaniało się ku zachodowi, ale jeszcze parę godzin dnia zostawało, parę godzin, od których zależało życie nasze.

Jenerała uprowodzono gwałtem z Krzywosądza. Szczęśliwym trafem Julian B. znający doskonale miejscowość przeprowadził go szczęśliwie nieprzebytą na pozór trzęsawicą, a w ślad za nimi wygrzebali się Kurzyna, ranny Zejfryd, któren z konia nie zsiadał, Rościszewski i Daniłowski. Zdaje mi się, że młody chirurg Ramlow pozostał jeszcze w Krzywosądzkim dworze, gdzie rannych opatrywał. Kapitan Raczkowski jako téż trzech czy czterech ułanów towarzyszyli jenerałowi. Za nimi ciągnęło pieszo kilku bezbronnych, których jenerał wysłał naprzód, wyganiając ich z szeregów aryergardy. Byłem w ich liczbie, bo licha pojedynka wygięła mi się przy odpieraniu ciosów karabinowych a tak byłem potłuczony kolbami, żem się ledwie wlókł.

Za nami ogień prawie ustał; od czasu do czasu dał się słyszeć strzał tylko. Na lewo harcowało kozactwo, jednak bardzo nieśmiało. Na prawo od granicy widziałeś także kozackie czwórki, najwięcéj po dwie, lub trzy razem. Ale za to pogoń kozacka posuwała swoje harce o parę wiorst naprzód i przebiegała drogą, strasząc nas pukaniem z janczarek. Sztab dosięgnął tabor już za Dobrem, na drodze do Radziejowa, wśród nieustannéj strzelaniny owéj dziczy. Wtedy to zapewne kożuch i kulbaka jenerała zostały przeszyte do reszty siedmioma kulami, ale przez ten cały dzień, ani on ani koń jego nie został draśnięty.

XII.

Ostatnich sił dobywając, dowlekliśmy się z B J. na ostatnią furę taboru, na któréj właśnie była historyczna *kuchnia*, opiewana przez pana Gillera. Między kociołkiem i blaszankami, poczciwa kucharka wygniotła jeszcze miejsce dla dwóch swoich pacyentów. Babina nie naprożno się nazywała w obozie *matką*. Jak matka nas trzeźwiła, poiła. Ze dwie werstwy tak z nią jechaliśmy malutkim kłusikiem i dopędziliśmy prawie nasz sztab, z tyłu którego wlókł się jakiś chłopczyna piętnastoletni, ciągnąc za sobę kozacką szkapę, którą z chęcią mnie odstąpił. Pożegnawszy kolegę i serdecznie podziękowawszy kucharce za jéj troskliwość, siadłem na konia i połączyłem się ze sztabem. Kucharka tymczasem dobrym kłusem pomknęła się naprzód, znacznie mnie wyprzedziwszy. Nazajutrz podobno szanowna ta kobieta dostała się ze swoim kociołkiem w ręce moskiewskie.

Nadmieniam o tém jedynie, ażeby wytknąć cały cynizm tych pamfleciarzy, którzy nie mogą darować jenerałowi, że zastał w obozie jakąś starą kucharkę, co z macierzyńskiego przywiązania do swoich paniczów warszawskich przyjechała z nimi do lasu, pielęgnować

* Jak Ludwik Mycielski pod Grochowem, jak Juliusz Małachowski pod Kaźmierzem, rzucał się na Moskwę wyprzedzając kosynierów o kroków kilkanaście i wołając: "niech żyje Polska! niech żyje dyktator!" Do nas często mawiał: "W Polskę wierzę bez restrykcyi, bez warunków. Ale w obecne powstanie, które wywołałem, wierzę tylko pod warunkiem, że jenerał Mierosławski obejmie nad niém nieograniczoną władzę; inaczéj nie byłbym powstania wywoływał."

* Jenerał swój rewolwer oddał był Krosnowskiemu.

ich do zgonu, czy przy ogniu biwaków czy pod ogniem moskiewskim! Ah! żeby to była jaka lwica różowana i z krynolinami, objeżdżająca obozy z pieczętką *rządu Narodowego*, to by ksiądz Kamiński i pan Giller inaczéj o niéj się wyrażali.

XIII.

Na tém się kończy moje osobiste świadectwo o bitwie Krzywosądzkiéj. Dalszy jéj przebieg mogą tylko opowiedzieć kilku ciężko rannych, których raczéj zupełnie niż miłosierdzie moskiewskie oszczędziło z téj krwanéj rzezi. Byli to jeńcy Włocławscy. Jeden z nich, J. Kostecki, późniéj wzięty i szczęśliwie wyswobodziwszy się z więzienia, następném opowiadaniem odkrył nam tajemnicę, która długo zakrywała los zacnych naszych kolegów.

Waleczny Celiński, chcąc zasłonić swego przyjaciela, bił się do upadłego nad owym rowem, gdzie jenerał uszykował był ostatnią tę aryergardę, przed cofnięciem się do wsi z taborem. Zuchwałość jego posunęła się aż do odzyskiwania lasu "na kolby," jak wołał. Zuchwałością tą zyskał przeszło pół godziny czasu. Ale wyparty formalnym attakiem na bagnety, zostawiwszy siedmiu trupów i zabrawszy kilku rannych musiał się zdecydować na odwrót, nie posiadając się z radości, że przynajmniéj jego *jenerał Ludwik* jest uratowany. Trudno odgadnąć, jakim cudem Moskwa nie zabiegła téj garstce pola do Dobrego podczas tego ostatniego boju; być może iż pomylony kierunkiem drogi Szyldner zapuścił się przez Krzywosądz do saméj granicy, i wtedy dopiéro dostrzegł zboczenie naszych szczątków na południe, do Dobrego i Radziejowa.

Celiński był w najlepszym humorze; przez całą drogę bawił dzieci dykteryjkami; to też mimo znużenia wesołość była powszechną. Na werstę przed Dobrem, Celiński zaproponował mały spoczynek, "żeby pokazać téj *szui czarnéj*, co o tysiąc kroków wlokła się za naszymi, że my się jéj nie boimy." Było to dla nich fatalném. Moskwa wprawdzie zatrzymała się także, ale kilkanaście minut straconych na tym wypoczynku wystarczały aż nadto, jak zobaczymy później, do stracenia *szansy* ocalenia.

Nasi już byli o pół wersty od Dobrego. Zabudowania i opłotki zdawały się zapraszać strudzonych całodziennym bojem na bezpieczny spoczynek; gdy oto nagle na lewo, długa kiszka wozów poprzedzona kilkunastą kozakami się ukazała. Była to rota piechoty kłusem zabiegająca naszym drogę. Nasi pojęli niebezpieczeństwo i wydobywając resztę sił, biegiem rzucili się naprzod, chcąc ubiedz wspomniane opłotki, gdzie może utrzymaliby się byli do nocy. Było ich niespełna trzydziestu, ale to byli *mierosławczycy z pod Krzywosądza*.

Tu nastąpiły prawdziwe wyścigi. Moskale znając ważność zajęcia Dobrego, kazali popędzać szkapy. Minuty tylko jednéj brakowało naszym do ubieżenia pozycyi na Moskalach; równocześnie Krzywosądzanie dobiegli do opłotków od pola, a Moskale od zabudowań. Chwila to była stanowcza dla naszych! Z rozpaczą nasi rzucili się na Moskwę wyłażącą z wozów, ale z łatwością odparci, wyginęli prawie do jednego od Celińskiego począwszy pod temi opłotkami, gdzie spodziewali się znaleźć bezpieczeństwo. Kilku na razie przeżyło ten dzień fatalny, ale trzech tylko, o ile wiem, zostało po ranach przy życiu. Tak się skończyła bitwa Krzywosądzka. Straty materyalne wynosiły 40 zabitych: siedmiu pochowano w lesie, drugich siedmiu na jego wylocie w Krzywosądzu, dwudziestu trzech w Dobrem. Nadto, czterech czy trzech Moskwa dobiła we dworze Krzywosądzkim.

Taką to ofiarę, tyle wyszydzani, oczerniani i prześladowani po całéj Polsce szlacheckiéj i lokajskiéj *mierosławczycy* znieśli daremnie na wykup ludowéj niewoli. Poświęcili się daremnie, bo z góry, oddawna, skazani byli na opuszczenie i śmierć bez świadków ni słowa pociechy, przez tych samych samolubów i intrygantów, którzy jeszcze przed rokiem tak przezornie wszystkie prace organizacyjne jenerała sobie przywłaszczyl, rozkradli albo w nasieniu zniszczyli, z obawy *rewolucyi społeznéj*, to jest zapanowania ludowéj sprawiedliwości na gruncie panowania Moskiewskiego.

Gdybyśmy byli wygrali tę piérwszą bitwę nad Moskwą, co tylko za poręką Mielęckiego mogło się ziścić, rząd prawy, co trzema solidarnemi dekretami ogłosił powstanie, uwłaszczenie bezwarunkowe włościan i dyktaturę jenerała Mierosłowskiego, rząd ten, reprezentowany przez Wł. Janowskiego i wzwyż wymienionych komisarzy, byłby powołał pół miliona kosynierów pod rozkazy dyktatora na całéj powierzchni polskiéj i zapalił wojnę prawdziwie narodową, wojnę, która jedna mogła dźwignąć z ruin zaprzedaną przez Targowiczan rzeczpospolitę. Ale wtedy panowanie społeczne szlachty i spekulantów, a polityczne intrygantów i złodziei by się skończyło. Szlachta, intryganci i rabusie, którzy po naszéj klęsce zawładnęli powstaniem, dobrze to przeczuwali, i dla tego zmówili się po całéj Polsce przeciw jenerałowi, a wierną garstkę, która mu towarzyszyła, wydali rozmyślnie Moskwie na rzeź sromotną.

Taki jest sens jedyny téj pamiętnéj potyczki Krzywosądzkiéj, o któréj gazeciarze albo zupełnie przepomnieli albo popletli bajki dowodzące że prawie żadna noga ztamtąd nie wyszła. Czytać pp. Gillera, Kraszewskiego, ks. Kamińskiego lub *Czas* Krakowski, to by się zdawało, że nie Mielęcki jenerała, ale owszem jenerał tego ich bohatera zdradził; teraz więc obaczmy, gdzie się podczas téj przeszło sześciogodzinnéj strzelaniny obracał głuchy na nią Mielęcki.

XIV.

Oto przenocowawszy pod Płowcami, z 18^{tego} na 19^{ty} Lutego, ze swoim obozem, ztąd jak świt posłał naprzód swoją szpicę z zapowiedzią, że tuż za nią ku nam dąży.

Tymczasem *sztab* p. Mielęckiego, do którego liczył się każden szlachcic z dobrym koniem do uciekania, ów sztab zasiadł we dworze do śniadania, na które zjechali się tak zwani, w szlacheckiéj Polsce, *obywatele* z różnych stron Kujaw. Wszystko razem założyło gwarliwy sejmik wojenny, którego istotnym marszałkiem była żona p. Mielęckiego, bardzo okazała i wygadana dama, trzymająca swojego *Kazia* pod drobniutkim pantoflem. Ta to pani zadecydowała, że nie "jakiś tam emigrant," ale jéj mąż obwołany jest naczelnikiem przez *naród*. *Obywatele* i *sztab* przyklasnęli jednomyślnie zdaniu pani wojewodziny, w to głównie bijąc że podobno Mierosławski "bardzo źle siedzi na koniu, kiedy przeciwnie Mielęcki słynny jest na całe Kujawy z berajterstwa." Inni wołali, że Mierosławski nie zna wojny partyzanckiéj, zwłaszcza z konnicą po lasach, i tylko na jatki ciągnie ich do Krzywosądza. Konkluzya taka, żeby, jeżeli chce, Mierosławski ze swojemi *siepaczami* przyszedł się poddać rozkazom naczelnika narodu Mielęckiego; a nie, to sobie niech wracają zkąd przyszli.

Właściciel Płowiec bardzo był rad téj kombinacyi, bo wiedział, że Mielęcki wróci zaraz do swojego Śleszyńskiego matecznika i bitwę od Płowiec oddali. Ale żona jego, kobieta z sercem polskiém, zaczęła przekładać, że to przecież Polacy co przyszli bić się za wolność swojego kraju, a zatém że ich opuszczać na rzeź się nie godzi, tylko trzeba całą siłą iść im w pomoc. Kilku śmiało się odezwać, że p. Mielęcki czytał im rozkaz, jaki odebrał, ażeby bez zwłoki stawić się pod Krzywosądzem, i że z tą zapowiedzią przed świtem już wyprawił swoją awangardę. Lecz te argumenta nie zmieniły postaci rzeczy. Pan wojewoda kontent, że go *większość rady wojennéj* od spełnienia rozkazu wyzwoliła, obtarł usta, wsiadł na koń ze swoimi doradzcami i ruszył nazad do Radziejowa, właśnie w chwili kiedy Moskale przechodzili groblę pod Ujmowem na Bachorze. Widać jednak że wstydził się tak podłéj i zdradzieckiéj ucieczki, bo strzelcom ani kosynierom swoim żadnego nie wydał rozkazu, tylko swoją kawaleryą, zawsze skorą do umykania, zabrał i wyniósł się z nią za Radziejowo. Dopiéro widząc się opuszczoną, piechota za nim się powlokła. Dowodem że Mielęckiemu i jego sztabowi o nic więcéj nie szło, jak o takie się oddalenie od nas, ażeby żadną miarą nie mogli być wplątani w bój, jest to, że odgrodziwszy się od nas dwiema milami, obóz cały ku lasom Śleszyńskim nie poszedł, ale rozłożył się na całodzienny wywczas, na pół drogi od Radziejowa do Piotrkowa, udając że o żadnéj bitwie nie wie.

XV.

Jenerał dopędził nareszcie obóz Mielęckiego za Radziejowem. Pan Mielęcki przyjął jenerała dumnie i z wyrzutami jako pobitego emigranta, który chroni się pod skrzydło krajowego wojownika; ponieważ jednak zmierzch zapadł a Moskale nie gonili, dał się nakłonić do sprowadzenia na powrót obozu do Płowiec, gdzie jenerał oznaczył był punkt zborny Celińskiemu i konnemu plutonowi Topora.

Jednakże rachuby radzców wojennych nawpół się tylko ziściły. Garstka towarzysząca jenerałowi prawie do nogi wyginęła, ale sam jenerał ani zginął ani uszedł za granicę.

W Radziejowie, gdzieśmy się zatrzymali pół godziny, mieszczanie przyjęli nas serdecznie, po polsku. Po pozrzucaniu orłów, nad któremi wiara się pastwiła, puściliśmy się nazad w drogę i późnym wieczorem przybyliśmy do Płowiec. Piérwszém rozporządzeniem jenerała było rozdać piki uwiezione na naszych wozach kawaleryi Mielęckiego i nowe kuć; ale powstał bunt formalny przeciw lancom, jako broni *zupełnie niepraktycznéj* dla *jazdy partyzanckiéj.* Wkrótce zjawił się i pan Topor witany okrzykami radości przez swoje szwadrony. Infamis ten umknąwszy Raczkowskiemu z pod płazów, już był obiegł okolicę z eskortą podobnych sobie uciekinierów, rozpowiadając wszędzie że "Mierosławski zdradził i uciekł za granicę." Nie pomału się zmieszał z razu widokiem żywego jenerała i Raczkowskiego w Płowcach, ale wkrótce otrzeźwiony opieką Mielęckiego i swojéj flintowéj konnicy, znowu począł dokazywać i odgrażać się rozstrzelaniem wszystkim mierosławczykom. Wtedy poczuliśmy, że i jenerał i garstka co z nim uszła śmierci pod Krzywosądzem, jesteśmy jeńcami wojennymi szlachetczyzny Kujawskiéj czy Wielkopolskiéj.

We dworze zobaczyłem po raz piérwszy konfederatów Wielkopolskich w całéj swojéj okazałości. Mielęcki i jego sztab, ów sztab historyczny, z którego można byłoby uformować wcale nie zły szwadron, znany mi już był z Krzywosądza, jak niemniéj jego kawalerya. Tutaj miałem zaszczyt poznać strzelców i kosynierów.

Pozdrowiony serdecznie od jenerała, przywitany od kolegów, po bardzo cieniutkiej kolacyjce i wypiciu szklanki wina, bo wszystko już było wyjedzowe i wypite, szukałem jakiegoś kąta do wypoczynku, ale naprożno; wszystkie kanapy, stoły, stołki literalnie były zapchane przez sztab pana wojewody, a przeziębnięty do kości, będąc przytém chory, nie miałem najmniejszéj ochoty szukać noclegu pod gołém niebem. Kurzyna, któren tego szukał co i ja, zaproponował mi udać się na wieś do chałupy chłopskiéj.

Lecz nie ta była myśl jego. Skoro wyszliśmy na dziedziniec, Kurzyna odciągnął mnie w kąt i odezwał się mniéj więcéj w te słowa: "Wleźliśmy w łapkę, z któréj musimy jak najśpieszniéj " wyleźć: życie jenerała i nasze jest zagrożone. Musimy się trzymać " kupy i pilnować jenerała; oni na wszystko się odważą... Ja biorę " na siebie zdecydować go do opuszczenia tymczasowego kraju. " Będzie to rzecz trudna, ale to musi nastąpić. *Avec de tel brigands, " nous n'avons rien à faire ici!*" dodał z przyciskiem. Jakkolwiek bądź pojmowałem doskonale zdradę nikczemną Mielęckiego, jakkolwiek bądź wiedziałem o spodleniu szlachty na całéj przestrzeni kraju, a roboty Komitetu Centralnego uważałem za wyrafinowaną zdradę przeciwko Polsce, nie mogłem jednak przypuszczać, aby rzeczy tak już źle stały. Liczyłem bowiem zawsze na partyą rewolucyjną. Nie wiedziałem wówczas, że jéj w Polsce 1863 r. nie było. Wyraziłem Kurzynie moje zdanie. Ale on mi odrzekł: "Jesteś " jeszcze młodym optymistą. Trzeba było być świadkiem spotkania " Mielęckiego z jenerałem. Zdawałoby się, że to jenerał zawinił; " wyrzucał bowiem jenerałowi, że on do niego nie przyszedł, że " kwiat narodu wydał na jatki, ażeby dorwać się władzy, i dał mu " wyraźnie do zrozumienia że z tego nic nie będzie, bo kraj takich " jenerałów nie potrzebuje itd. itd. Dopiéro kiedy nadeszli kosy" nierzy, którzy jakieś dziwne mają przywiązanie do jenerała, gdy " zaczęli cisnąć się do niego, całować jego i jego konia, co go ocalił, " pan Mielęcki ton zmienił i wszystko spędzając na *radę wojenną*, " pozornie się poddał rozkazom jenerała." Opowiedział mi następnie o owéj *radzie wojennéj*, którą padałem wyżéj. "A więc liczymy na " siebie—odezwał się następnie—jutro zresztą pomówimy obszer" niéj. Chciałbyś bez wątpienia teraz znaleźć jakiś kąt do spania? " Chodź, wskażę ci jeden a będziesz bez wątpienia lepiéj spać jak " w twoim hotelu Germanique." I rzeczywiście na stosie słomy, w ciepłéj owczarni, gdzie mnie zaprowadził, spoczynek mój wydał się rajskim, szczególniéj gdy przypomnę sobie, że od czterech dni i nocy nie spałem wcale. Jenerał wprawdzie wyznaczał nam godziny spania i uwolnił nas od wszelkich innych służb. Lecz to nie przeszkadzało nam bynajmniéj stać na placówkach po całych nocach. Szczególniéj romantyczny Zejfryd mimo swoich gaskonad miał wpływ na nas wielki i któremu byliśmy zupełnie ulegli; ale tu, ranny Alonzo musiał nas opuścić. (D. n.)

WIADOMOŚCI I DONIESIENIA.

Z okazyi obdarzenia chrestem moskiewskim namiestnika Galicyi hr. Gołuchowskiego, poseł moskiewski w Wiedniu, hr. Stackelberg wyprawił w dniu 23 listopada objad na *cześć* . . . Polaków. Na objedzie tym byli oprócz namiestnika Galicyi, szwagier jego hrabia Józef Baworowski, książę Karol Jabłonowski i książę Władysław Śanguszko. Poseł moskiewski zaprosił jeszcze innych hrabiów i książąt polskich, ale ci udziału w uczcie nie przyjęli jak powiada *Gazeta Narodowa.* O ile namiestnik i jego szwagier mogli i powinni byli uniknąć tych urzędowych umizgów Moskiewskich, nie wchodzimy; ale obecności dwóch książąt Polskich na salonach ajenta mordercy Polski inaczéj wytłómaczyć nie możemy jak wyzuciem się ich z wszelkiego wstydu Narodowego.

— Gyd poseł moskiewski w Wiedniu tak się troszczy zabawą naszych tytułowanych panów, spojrzyjmy co wyrabiają pod panowaniem carów: czém tam się bawią? *Dziennik Warszawski* donosi, że zawiązało się towarzystwo ziemskie kredytowe w Petersburgu, a prezesem jego w. książę Konstanty Mikołajewicz. Rząd dał temu towarzystwu 20 milionów franków na wykupno majątków polskich' a szanowny prezes obrady akcyonaryuszów zagaił takiém przemówieniem: "Nie wątpię, że osiągnięty będzie cel, który wska" zany nam został przez Najj. Cesarza, osiedlenia w zachodnim kraju " ludzi Rossyjskich na których by można liczyć. (Ztąd wypływa, " że na zachodni kraj dziś liczyć jsszcze nie można.) Z niemniéj" szém współczuciem spoglądam również na cel naszego towarzy" sttwa: okazywania wedle sił pomocy Rossyjskim nabywcom dóbr, " bez robienia jakiéjkolwiek różnicy między osobami, które żądają " do nas pomocy, bez względu na stan do jakiego należą."

— O ile postępuje wyprzedaż majątków pokonfiskowanych, zaświadczają nam *Moskiewskije Wiedomosti*: Z dawniéj opublikowanemi dobrami sprzedano dotąd, wedle prawideł zatwierdzonych 23 lipca 1865 r., ogółem 60 majątków przestrzeni 28428,14 dziesięcin za cenę 1335687 franków; z tych: jako nagrodę za służbę wyprzedano 52 osobom 57 majątków, innemi słowami, czynownicy u nas "usmiercajuszczyje miatież" ładowaniem swych kieszeni kupili za wpół darmo 25987,78 dziesięcin za cenę 1180081 franków; w ręce zaś osób chcących stale się przenieść na mieszkanie do zachodnich gubernij *trzy* majątki przestrzeni 2440,36 dziesięcin za cenę 155615 fr. Te cyfry wskazują, że cała wyprzedaż jest czynownikowską operacya i że mimo takie patryotyczne reklamy Krajewskich, Katkowa, Aksakowa itp. Moskale wcale nie spieszą do nas. Oto nazwy dóbr sprzedanych: w Kowieńskiém, Paniuta, Żerno, Kołnobrzeże; w Dubieńskiém, Mały Dorohostaj, Demydowka, Michołówka; w Słonimskiém, Hołynka, Jarniew, Brodno; w Wołkowyskiém, Swisłocz, Zelwa; w Sokólskiém, Odelsk; w Kobryńskiém, Wałowel, Czykin, Mechwedoczy.

— Uczeni moskiewscy, według *Moskiewskich Wiadomości*, zauważyli, że nazwy miejscowości na mappach wschodnich województw rzeczypospolitéj nie są w zupełności moskiewskie, więc kilku Petersburgskich uczonych ma zająć się wydaniem geograficznego słownika zaludnionych miejscowości zachodniego kraju. Zobaczymy jak wyglądać będzie ta praca uczonych, którzy swą nogą nie dotknęli ziemi polskiéj, a tylko *a priori* wyrzekli, że mappa Szuberta (jedna z lepszych) ma przepolszczone nazwy i ze je potrzeba odpolszczyć.

— *Dziennik Poznański* podał ilość kontrybucyi ściągniętéj z Wołynia, Podola i Ukrainy. Oto wyciąg: 1863 r. zdarto 8342648 franków, w 1864 r. 4080380 fr., w 1865 r. 3982604 fr. a w następnych dwóch latach przeszło po 720000 fr. czyli razem w ciągu lat pięciu, oprócz konfiskat i łapowego urzędnikom, właściciele większi powinni byli zapłacić około 24 milionów franków najbezprawniéj. Do tego wykazu nie weszły sztrafy dowolnie naznaczane na pojedyncze osoby.

— Jednak chcąc przedłużyć stan obecny samowolnych rządów, jak donosi *Dziennik Lwowski*, urzędnicy moskiewscy starają się porozrzucanemi po ulicach miast plakatami i porozlepianemi obwieszczeniami, jakoby drukowanemi we Lwowie, nastraszyć mini-

steryum spraw wewnętrznych, ażeby nadużyciom nie rychło położony był koniec. Na ludność te plakaty żadnego nie wywierają wpływu, bo wie ona dobrze zkąd pochodzą.

— Urzędnicy nasłani do naszego kraju biorą olbrzymie pensye, jeżeli nie rząd, ale fundusze obywatelskie mają je wypłacać. Dość przytoczyć dla przykładu, iż kniaź Imerytyński, marszałek Wołyński, z funduszów ziemskich pobiera płacy rocznéj 24000 franków. Po wysokości pensyi Francuzi mogliby sądzić, że to minister, gdy w istocie jest to tylko narzucony marszałek szlachty, którego urzędowanie wedle swodu zakonów powinno być *bezpłatne !*

— Te tak znaczne pensye ściągają aspirantów moskiewskich ze wszech stron, aż trudno wymyślić już nowe posady; nowo przyjezdni oszukani nie raz odpokutowują swój apetyt na cudze dobro głodem przecierpiewanym. Z Warszawy do *Moskiewskich Wiadomosti* piszą: "Wcale nie byłoby zbytecznėm, gdyby moskiewskie towarzystwo zajęło się pewném zabezpieczeniem początkowego losu swoich *przednich falang*, przesiedlających się na Nadwiślańską niwę." Jeżeli te szumowiny moskiewskiego społeczeństwa tak licznie rzucone na nas są tylko przedniemi falangami tedy radzimy zawczasu ucywilizowanemu światu, aby w średniowiecznych litaniach "od napadu Normandów" raczył zmienić na "od najazdu poszukiwaczy posad rządowych zachowaj nas Panie."

— Do gwałtów popełnianych na Rusi należy również zdarzenie podane przez *Wiest*. Karol Orański podpisany "dymisyonowany z powodu ran oficer moskiewski" pisze, że czynownicy odcięli mu 299 dziesięcin ziemi dla włościan, gdy według inwentarzy należało mniéj o 101 dziesięcin, a za czarnoziem wyznaczona cena po 21 i pół kopiejki. Kto słyszał na zachodzie o cenie hektara czarnoziemi mniéj niż po franku?!

— W Paradyżu murarz znalazł skarb 20000 sztuk srebrnéj monety z xvi i xvii wieku; skarb ważył 450 funtów. Rząd Prusski, zapewne na zasadzie, że konfiskaty nie ma, zabrał znaleziony skarb.

— Rada Lwowska uwolniła nareszcie fundacyą Skarbka od utrzymywania nadal teatru Niemieckiego.

— W Kosowie w Galicyi marszałkiem rady powiatowéj był wybrany ob. Soroczyński, rządzca dóbr kameralnych z Kutt, Namiestnictwo wyboru najnieprawniéj nie zatwierdziło. Członkowie rady przystąpili do powtórnych wyborów i mimo przedstawień ob. Soroczyńskiego, aby wybrali kogo innego, powtórnie go swą ufnością zaszczycili i złożyli na ręce komisarza rządowego prośbę do Gołuchowskiego, aby potwierdzenie powyższego wyboru u J. C. M. wyjednać i wszelkie przeszkody usunąć raczył. "Oraz oświadczyli, że choćby 10 lub 20 razy do wybrru przystępować mieli, zawsze tegoż samego pana Józefa Soroczyńskiego marszałkiem rady powiatowéj wybierać będą." Przytaczamy ten objaw, jako pełen świadomości swych praw i uszanowania samorządu prowincyonalnego, który zaczyna się stawać nie czczém słowem w ustach namiestnika, ale wyrazem głosu narodu. Ciekawi jesteśmy, czy i w tym wypadku jak i w oborze pana Starkla wola ludności zatryumfuje nad osobistemi niechęciami? Dziś cześć oddajemy radzie Kosowskiéj za jéj wytrwałość.

— Polak, Michał Nowosielski był architektą największego i najakustyczniéj zbudowanego teatru opery włoskiéj Haymarket, w Londynie, który wystawiony był w 1791 r. a zgorzał przed kilkoma dniami.

EMIGRACYA.

Piérwsze wybory do Komitetu Zjednoczenia Emigracyi Polskiéj jeszcze nie ukończone. Dotąd głosujących jest 400 przeszło. Wybrani już prawną większością są obywatele Wróblewski Walery i Jarmund Stanisław. Najwięcéj po nich głosów majacy są: obywatele Mazurkiewicz Wincenty, Dąbrowski Jarosław, Jurjewicz, Miłkowski, Ruszczewski i Pogorzelski. Inni kandydaci zaledwie po kilka głosów otrzymali. Spodziewane są jeszcze głosy od gmin Monachium, Colmar, Konstantynopol, Adampol, razem około 300 głosów. Jeżeli więc przewidzenia spełnią się zupełnie, przybędzie do Zjednoczenia od czasu przyjęcia ustawy około 200 emigrantów. Dobry początek.

— List poniższy prostuje niektóre wiadomości podane mylnie w przeszłym numerze o kształcącéj się młodzieży:

W Nr. 158 "Głosu Wolnego," w artykule "o kształcącéj się młodzieży" jest ustęp następnjący: "Do szkoły wojskowéj w St. Cyr postąpili następni: "Kaczkowski, Koszutski, Rydzewski, Petyon, Świętorzecki Bolesław. "Nadto złożyli examina: Święcicki i Podkowiński, ale dla braku funduszów, "które się wyczerpały w Komitecie. a Litewski żelazny kapitał już zapewne "nie istnieje, mimo nawet przyjęcia do szkoły, musieli ją porzucić itd." Ponieważ wiadomość ta jest błędną pod dwoma względami, jako dobrze obeznany z tą sprawą, uważam za obowiązek nadesłać wam następujące sprostowanie, upraszając o zamieszczenie go w przyszłym numerze waszego pisma.

1) Do szkoły St. Cyr tego roku zostali przyjęci po złożeniu examinów jak następuje: 1. Kaczkowski, 2. Petyon, 4. Świętorzecki, 5. Rydzewski. Są to numera *classement* jakie otrzymali po examinie, na 20 kilku kandydatów-cudzoziemców. Koszutski zaś postąpił do St. Cyr, lecz przeszłego roku, jest teraz na drugim kursie.

2) Święcicki żaden do St. Cyr tego roku examinu nie składał. Zdawało kilku uczni ze szkoły p. Żabielskiego, z pomiędzy których Podkowiński otrzymał Nr. 8, Syciński Jan 9. Ponieważ w uprzednich latach przyjmowano za zwyczaj 10 piérwszych cudzoziemców do szkoły St. Cyr., a zatém w piérwszéj chwili sądziliśmy, że panowie Podkowiński i Sycinski są także przyjęci; lecz, niestety, w kilka dni potém tylko 7 piérwszych otrzymało zawiadomienie, że są przyjęci do szkoły.

Panowie więc Podkowiński i Syciński nie weszli do szkoły, nie z braku funduszów, których nie było na opłatę za nich, lecz dla tego że przyjęto tego roku do St. Cyr cudzoziemców 7 zamiast 10 jak zwykle.

Paryż, 9 grudnia 1867.

Ignacy Kurniewicz.

Tolkemit Bolesław, emigrant z 1846 r., rodem z Warszawy, umarł w Algierze dnia 4 listopada b. r. w 40m roku życia. Po rewolucyi Francuzkiéj w 1848, wyjechał był do Galicyi, zkąd przez władze Austryackie wydalony został wraz z innymi współtowarzyszami na statku Djam-Mathéo. Od 1849 r. mieszkał w Algierze. Zgon jego przedwczesny dotknął boleśnie owdowiałą żonę, brata i szwagra na emigracyi będących, oraz liczne grono pozostałych przyjaciół.

Składka na podtrzymanie *Głosu Wolnego*:

Polacy w Sheffield na obchodzie rocznicy 29 Listopada złożyli ..	fr. 12 c. 50
Ciesielski Jakób z Londynu	fr. 6 c. 25
K. z Paryża	fr. 10
O. K. z Paryża	fr. 3
Przyjaciel Głosu Wolnego	fr. 1
Krajewski z Paryża	fr. 1

KOLĘDA NA ROK 1868.

Do .....

Faraon marzył o żelaznym wilku..
Nie, to Gedymin. w Litwie, nad Wilejką;
Lecz król i książe miał tłómaczów kilku:
Tam wróżył Józef, u nas wieszcz Lezdejko,
Kto z nich bieglejszy? wróżby świat pamięta;
I w téj i w owéj tli się prawda szczera:
Nad Nilem ludzie gorsi niż bydlęta,
A wilk żelazny Litwę znów pożerra..
Więc król Faraon usnął przy zabawie;
W têm, siedm krów tłnstych z Nilu wód wypada,
A siedm wychudłych pasie się na trawie...
I głodna trzoda tę tuczniejszą zjada.
Król, po wieczerzy, znowu miał sen inny:
Siedm snopów plennych o złocistym włosie,
A tuż, siódemka suchych jak liść winny...
I te pożarły tamte, kłos po kłosie!
Pan, choć potężny, przeląkł się okropnie:
Bo nikt z kapłanów i guślarzy grona,
Wstąpiwszy z dreszczem na trójnożne stopnie,
Nie mógł odgadnąć snów tych Faraona;
Aż się żyd zjawił, Józef, ten sam właśnie
Co został za to namiestnikiem króla;
I ja też Józef, oba sny wyjaśnię,
Choć mię nie nęci czosnek ni cebula:
Siedm krów i kłosów plennych, to my sami,
My też wygnańce wśród niewiernych ludzi;
Wy, przegłodzoną trzodą i kłosami...
Myśmy zdławieni, a wy zawsze chudzi.

Józef Prawdomir.

w Drukarni Polskiej, 1, Sandwich Street, Burton Crescent, London. W. C.